

TEMATY
TYGODNIA

- 12 Mariusz Janicki
Rząd bez pomysłów
- 14 Grzegorz Rzeczkowski
Co pokazuje TV Republika
- 16 Marcin Piątek
Najpopularniejszy Polak świata

OGLĄD
I POGLĄD

- 19 Robert Krasowski
Dlaczego lewica jest mało lewicowa

ROZMOWA
POLITYKI

- 22 Katarzyna Szymielewicz, prezeska Fundacji Panoptikon, o tym, jak bronić się przed tymi, którzy wiedzą o nas za dużo

KRAJ

- 26 Joanna Podgórska
Jak się w Polsce walczy z antykoncepcją
- 30 Agnieszka Sowa
Dlaczego 13-latek zabił swego tatę
- 32 Juliusz Ćwieluch
Po co nam właściwie wojsko
- 35 Joanna Cieśla
Jak się pracuje po siedemdziesiątce

RYNEK

- 38 Piotr Pytlakowski
„Układ zamknięty” w branży warzywnej
- 40 Cezary Kowanda
Zapłać telefonem

ŚWIAT

- 42 Filip Gańczak NIEMCY
Kontrwywiad aż nadto skuteczny
- 45 Patryk Kugiel PAKISTAN
Początek wielkich zmian?
- 48 Aleksandra Lipczak HISZPANIA
Siostra Teresa od Oburzonych

ESEJ

- 50 Adam Krzemiński
Von Moltke i Pilecki: życiorysy równoległe



12 Wielkie POlewanie



16 Lewy, następca Zibiego



32 Kto nas obroni



92 NA WŁASNE OCZY Pokoje zaginionych

HISTORIA

- 53 Sławomir Leśniewski
Księżę Józef Poniatowski – z hulaki bohater
- 56 NAGRODY HISTORYCZNE 2013
Przedstawiamy laureatów

NAUKA

- 58 Jarosław Marczuk
Egzoszkielety – nadzieja dla sparaliżowanych
- 61 TECHNOECHO
- 62 Wojciech Mikołuszko
Oszuści nauki

KULTURA

- 68 Aneta Kyzioł
Kto naprawdę rządzi w teatrze
- 71 KAWIARNIA LITERACKA
Sylwia Chutnik
- 72 Piotr Sarzyński
Dziś muzea muszą uwodzić
- 75 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 76 Janusz Wróblewski
Fenomenalne kino dokumentalne

LUDZIE
I STYLE

- 78 Piotr Sarzyński
Największe targi designu
- 81 Bartek Chaciński
Willie Nelson – rebeliant country
- 84 Jo Harper, Marek Ostrowski
Skandal pedofilski w BBC

NA WŁASNE
OCZY

- 92 Magdalena Gorlas
fotografie
Karolina Jonderko
Ślady po ludziach, którzy zniknęli

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
• 6 Ludzie i wydarzenia
• 64 Afisz • 86 Fusy, plusy i minusy • 87 Do i od redakcji
• 88 Passent • 89 Hartman
• 90 Stomma • 98 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

felieton



Kaplica demokracji

Kaplica jako symbol demokracji jeszcze się w wyobraźni Polaków nie utrwaliła. Być może dlatego 20 rocznica powstania i poświęcenia sejmowej kaplicy pod wezwaniem Bogurodzicy Maryi Matki Kościoła minęła niezauważona, zagłuszona wrzawą wokół obchodów święta 1 i 3 Maja. Trudno się dziwić, przez lata w polskim Sejmie nie było ani demokracji, ani kaplicy, potem przez pewien czas była demokracja bez kaplicy. Demokracja – nie oszukujmy się – słaba, która dopiero po ufundowaniu kaplicy wzmocniła się na gruncie określonych wartości na tyle, że mogła zacząć szaleć. W latach następnych kaplica stała się ważnym ośrodkiem życia umysłowego wielu posłów, którzy załatwiają w niej swoje po-

trzeby duchowe, wymodlili przy tym sporo dobrych rozwiązań dla Polski, m.in. deszcz podczas suszy w 2006 r. Przy kaplicy rozdziły się ważne dla demokracji inicjatywy – tu uformowała się parlamentarna grupa modlitwenna, grupa zabiegająca o Intronizację Najświętszego Serca Pana Jezusa czy Sejmowy Zespół ds. Przeciwdziałania Ateizacji Polski, stąd wyszedł też słynny już w świecie pomysł ustanowienia Chrystusa królem Polski.

Mimo że w ciągu 20 lat funkcjonowania kaplica zmieniła wystrój, przeszła gruntowny remont i została zaopatrzona w atrakcyjne relikwie, wielu posłów i senatorów wciąż nie znajduje w niej miejsca dla siebie. Duchowa jakość tych posłów i senatorów wzbudza uzasadniony niepokój, dlatego cieszy informacja, że wierni z warszawskich parafii położonych najbliższe Sejmu, w ramach tzw. duchowych adopcji, rozpoczną we wrześniu cykl modlitw za ich

zbawienie. W „Rzeczpospolitej” czytamy, że każdy wierny po wylosowaniu nazwiska konkretnego parlamentarzysty ma codziennie do końca kadencji odmawiać w jego intencji dziesiątek różańca oraz „Pod Twoją obronę”. „Otoczenie parlamentarzystów duchową adopcją nie jest nowym pomysłem” – pisze gazeta, przypominając zeszłoroczną inicjatywę Akcji Katolickiej, której członkowie otoczyli Sejm, aby odmówić przed nim modlitwę różańcową.

Adopcjom sprzeciwiają się posłowie lewicy (w obawie, że będą przymusowe), ale organizatorzy akcji twierdzą, że są one konieczne ze względu na pogarszającą się sytuację duchową większości posłów i senatorów. Ich zdaniem sytuacja ta poprawi się tylko wtedy, gdy najuboższych duchowo parlamentarzystów otoczy adopcją porządną katolicka rodzina, kierowana przez dobrze ubożanego ojca, najlepiej dyrektora.

Różne chwalicie, piwa nie znacie

Polacy otwierają się na nowe alkohole i coraz chętniej sięgają po wina czy whisky. Interesują ich niuanse produkcji, różnorodność smaków, sposób serwowania. Mało kto zdaje sobie jednak sprawę, że jednym z najbardziej złożonych, a zarazem fascynujących w przygotowaniu i wymagających pod względem podania alkoholi jest piwo.

Zapoczątkowana kilka tysięcy lat temu sztuka piwowarska do dziś stanowi hołd precyzji produkcji, finezji kompozycji oraz bogactwa smaków, jakie oferuje piwo. Już w starożytności złoty trunek zadziwiał różnorodnością – istniały piwa na bazie orkiszu, pszenicy, jęczmienia, były piwa jasne i ciemne, a nawet czerwone, powszechna była również praktyka mieszania różnych gatunków czy dodawania do nich soku z daktyli. W sumeryjskich i babilońskich poematach historycznych piwu przypisywano wręcz magiczne właściwości, a jego smak wychwalano, nazywając „boskim napojem”. Pierwsi jego twórcy cieszyli się wielkim szacunkiem, a ich umiejętności budziły podziw. Zawód oberżystki i handel piwem regulowano już w Kodeksie Hammurabiego.



Od tamtej pory wiele się zmieniło w technice produkcji, ale najważniejsze pozostało. Niezmiennie, proces warzenia piwa to prawdziwa sztuka. Niewielu z nas zdaje sobie sprawę, że każdy z etapów jego powstawania wymaga należytej uwagi i wpływa na efekt końcowy, a do mistrzostwa w swoim zawodzie najlepsi piwowarzy dochodzą latami. Prawdziwa pasja ludzi, zaangażowanie, wierność recepturze i tradycji to cechy, bez których nie ma dobrego piwa.

Wiedzą o tym w Żywieckiej Szkole Piwowarskiej i od ponad 150 lat warzą piwo, które od samego początku było wzorem dla innych browarów w Polsce. Jego jakość docenili Habsburgowie i przyznali piwu warzonemu w Browarze Arcyksiążęcy w Żywcu prawo do używania znaku korony habsburskiej. To wielki zaszczyt, ale również zobowiązanie.

Z czasem piwowarzy zaczęli zauważać, że na ostateczny smak piwa ma również wpływ to, jak jest ono podawane. Upowszechniał się zwyczaj jego chłodzenia, dzięki któremu uwalniane są walory smakowe i zapachowe. Każde piwo ze względu na swoją specyfikę ma własny idealny poziom schłodzenia, jednak w warunkach domowych, w których współczesny konsument sięga po produkt, trudno jednoznacznie stwierdzić, kiedy ten moment został osiągnięty. Na podstawie badań przeprowadzonych dla piwa Żywiec stwierdzono, że najlepiej smakuje ono, kiedy jego temperatura nie przekracza sześciu stopni Celsjusza. W związku z tym, aby móc łatwo rozpoznać, że piwo ma już właściwą temperaturę do spożycia, na nowych puszkach i butelkach umieszczono wskaźnik termoaktywny. Kiedy symbol korony habsburskiej zmieni kolor na niebieski, to znak, że Żywca można już otwierać i cieszyć się jego smakiem.

Równolegle rozwijała się sztuka serwowania piwa. Powstał swoisty rytuał jego podawania złożony z kilku prostych czynności. Jego podstawą stała się szklanka – odpowiednio zaprojektowana i przygotowana podkreśla smak. Ważne jest, aby barman sprawdził, czy szkło jest nieskazitelnie czyste, odpowiednio

je schłodził i oplotkał, a następnie właściwie osuszył. Jednak najważniejszym krokiem jest stworzenie piany. To ona chroni piwo przed utratą aromatu – nalanie idealnie puszystej i grubej to znak prawdziwego mistrzostwa. Kluczem jest ustawienie szklanki pod kątem 45 stopni względem nalewaka. Wprowadzenie szkła, którego bryła posiada wgłębienie ułatwiające ułożenie go we właściwej pozycji, jest kolejną innowacją Żywca. Zaprojektowanie nowej szklanki marka powierzyła Januszowi Kaniewskiemu, jednemu z najlepszych polskich designerów. Dzięki jego projektowi piana zawsze będzie idealna.

Wiedząc, jak serwować piwo, pozostaje tylko się nim rozkoszować. Gatunków jest wiele, a każdy z nich ma swoich zagorzałych fanów. Ważniejsze jest jednak niepowtarzalne bogactwo i głębia smaków, jakie piwo ma do zaoferowania. Najwyższy czas docenić jego wyjątkowość, ponieważ intryguje i zachwyca jak żaden inny alkohol.



[Kup książkę](#)

Jarosław Drugi Samotny

Marek Biernacki został nowym ministrem sprawiedliwości. Jarosław Gowin zaczyna wykładać swój nowy polityczny los. Dymisja Gowina wisiała w powietrzu od dawna, można nawet uznać, że b. minister robił wszystko, by do niej doszło, choć zapewne w innych, bardziej „mężeńskich” okolicznościach. Poleć w walce ze związkami partnerskimi, i to w huraganowym ogniu debaty, to jednak nie to samo co sprawa niejasnego tłumaczenia, o co mu chodziło z tymi Niemcami eksperymentującymi ponoć na polskich zarodkach/dzieciach. Gowin dał premierowi prezent i to w momencie szczególnie sprzyjającym, bo akurat w tych dniach żywą dyskusję wzbudził prawomocny wyrok uniewinniający b. posłankę Sawicką i ustalający granice możliwych prowokacji CBA. Histeryczna, wielce widowiskowa reakcja Mariusza Kamińskiego, Zbigniewa Ziobry i b. agenta Tomka okazały się medialnie o wiele bardziej atrakcyjne niż dymisja Gowina. Nie miał więc lider konserwatystów z PO (jak go przedstawiały media) swojego show na zakończenie ministerialnej kariery, tym bardziej że natychmiast uznano, iż liderem konserwatystów jest jego następca Marek Biernacki. Ci, którzy jeszcze niedawno gotowi byli podobno za Gowinem w ogień iść – czy raczej w polityczny niebyt w przypadku porzucenia Platformy – od razu zachwycili się Biernackim jako jeszcze większym konserwatystą. Ku zdumieniu publiczności okazało się wręcz, że to Biernacki był przywódcą konserwatystów w PO! Gowin znów został sam i bez wyraźnego planu politycznego. Koalicja się nie rozpadła, nikt nie wybrał się do PiS czy do jakiejś innej partii, choć zapewne kilka osób ma powody, by z niepokojem myśleć o swojej przyszłości.

Premier dokonał zmiany wyjątkowo politycznie zręcznej, wytrącając argument, że Gowin jest ofiarą niszczenia w PO za poglądy. Zapowiadająca się jako najbardziej spektakularna dymisja nie wzbudziła praktycznie żadnych emocji. Marek Biernacki jest wprawdzie konserwatystą, ale wyjątkowo niechętnie demonstruje to publicznie. Ma staż ministerialny w resorcie spraw wewnętrznych zakończony sporym dorobkiem merytorycznym (utworzenie CBS i udana walka z gangami, likwidacja jednostek wojskowych w MSWiA, przeniesienie GROM do MON, uregulowanie statusu prawnego BOR, utworzenie Urzędu ds. Cudzoziemców). Ma też doświadczenie parlamentarne, dobrą opinię pośła merytorycznego, niewdającego się w żadne awantury polityczne, niebudującego własnej kariery politycznej, co daje mu w Platformie wysoką i stabilną pozycję. Politycznie premier trafił więc w dziesiątkę. Czy to znaczy, że Biernacki będzie dobrym ministrem sprawiedli-

ści (już dwudziestym po 1989 r.)? Zmiany w tym ministerstwie przebiegają w tempie praktycznie ekspresowym, co nie pozostaje bez wpływu na jakość wymiaru sprawiedliwości, sposób jego reformowania i stan stanowienia prawa.

Jarosław Gowin, wbrew dość rozpowszechnionej opinii, nie był najgorszym ministrem. Merytorycznie mógł obronić wiele swoich działań, nawet owo budzące koalicyjne kontrowersje przekształcanie sądów, które jest tylko fragmentem zmian usprawniających pracę wymiaru sprawiedliwości. Potrafił walczyć o pieniądze na usprawnienia, ale nie ugiął się pod



© DAREK GOLIK/FOTORZEP/FORUM

wieloma korporacyjnymi żądaniami. Jeżeli Sejm uchwali szybko kodeks postępowania karnego, to też będzie w części jego zasługą. Choć porażką jest brak nowej ustawy o prokuraturze czy ciągłe krytykowanie i niezmienną działalność Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury. Nie jest to więc obraz wyłącznie czarny, ale b. minister złą opinię zawdzięcza sam sobie, bo o wiele chętniej mówił o deregulacji, która tylko w niewielkiej części należała do niego (głównym gospodarzem jest tu minister gospodarki), a prawdziwie wyżywał się w kwestiach światopoglądowych, czyli na polu, na którym sprawując funkcję ministra sprawiedliwości, powinien być właściwie przeźroczysty i neutralny. Dziś w resorcie sprawiedliwości nie są potrzebne żadne rewolucje, lecz solidna urzędnicza praca. I do tego Marek Biernacki może mieć dobrą rękę i charakter. Po oddzieleniu funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego jest to w gruncie rzeczy spokojny resort, co nie znaczy, że łatwy, gdyż trzeba umiejętnie poruszać się między silnymi korporacjami prawniczymi. Dotych-



czasowe doświadczenia pokazują, że nowy minister akurat tu ma niezły dorobek. Kierując przez lata właściwie bezwidowskich konfliktów sejmową komisją spraw wewnętrznych, zdobywał szacunek różnych, często skonfliktowanych środowisk.

Zasadnicze pytanie dotyczy jednak przyszłości Gowina. Przy okazji kolejnych sporów światopoglądowych próbował budować sobie polityczną pozycję, uznając zapewne, że resort sprawiedliwości daje dobry punkt startu. Skoro Lech Kaczyński został prezydentem, a PiS potężną partią, to dlaczego on miałby nie osiągnąć choć części tamtych sukcesów? Otóż po pierwsze dlatego, że minister nie jest już prokuratorem generalnym i żadnym mniejszym czy większym szeryfem nie zostanie, a po drugie dlatego, że Gowin jest w gruncie rzeczy politycznym samotnikiem. Nie zbudował żadnej znaczącej frakcji w Platformie, nie zbudował sobie osobistej politycznej pozycji jako poseł z Krakowa. Przynajmniej takiej, by w wyborach samorządowych wystartować z szansami zwycięstwa na stanowisko prezydenta tego miasta, co w pierwszym odruchu po dymisji zapowiedział.

Gowinowi trudno więc skonstruować dla siebie plan polityczny. Jeśli zechce zmierzyć się z Tuskiem o przywództwo w PO – przegra. Prezydentura Krakowa, mimo wielu wysiłków promocyjnych (Gowin autentycznie pracuje w mieście nad swoją rozpoznawalnością i popularnością), na razie jest poza zasięgiem. Dokonanie znaczącego podziału w PO – nie możliwe, podobnie jak stworzenie własnej partii. Między Tuskiem a Kaczyńskim nie ma dziś miejsca na żaden polityczny byt i Jarosław Gowin nie zostanie Jarosławem Drugim. Jeśli celem Gowina jest prezydentura kraju, a ten plan wydaje się na miarę jego ambicji, musi mieć zaplecze polityczne. A to oznacza, że musi czekać. Musi przeczekać jeszcze jedną kadencję Bronisława Komorowskiego i erę Tuska w PO z nadzieją, że Platforma kiedyś się rozpadnie, a w PiS po władzę sięgną młodzi, z którymi zaczął współpracować, i będzie szansa na tworzenie nowych politycznych bytów. To jest długi dystans, znaczony po drodze porażkami i nieuchronnymi zmianami w otoczeniu społecznym i politycznym. Tematy gorące dziś – jak związki partnerskie czy in vitro – za kilka lat przestaną być tak gorące. Na razie Gowin zakleszczył się więc w pułapce własnych ambicji i politycznych realiów. W dużej mierze na własną prośbę, bo mógł, mimo że nie prawnik, zostać zupełnie dobrym ministrem sprawiedliwości. Ale on głównie budował ideologiczną twierdzę i teraz w niej utknął.

Udajemy Greków

Joanna Solska

Można pomyśleć, że prawie 80 mln euro kary za złe wykorzystanie funduszy rolnych to pestka w porównaniu z ponad 30 mld euro, które od 2004 r. popłynęły na polską wieś. Nawet jeśli uwzględnimy jeszcze 34,4 mln euro, które w lutym tego roku Bruksela odebrała nam za nieprawidłowości w przyznawaniu rent dla rolników. Można też, jak niektórzy politycy Platformy, uważać, że Bruksela na gwałt szuka sposobów zasypania dziury w unijnym budżecie i dlatego nałożyła 230 mln euro kar na 14 krajów członkowskich za złe gospodarowanie pieniędzmi przeznaczonymi na wsparcie gospodarstw niskotowarowych. I pocieszać się, że mała Grecja zapłaci jeszcze więcej, bo 107,6 mln euro. Można rozgłaszać, że Europejski Trybunał Sprawiedliwości, do którego się odwołamy, na pewno nam tę karę obniży. Bo tego, że błędy były, zakwestionować się jednak nie da.

Albo można jeszcze inaczej. Na przykład zajrzeć do przepisów Wspólnej Polityki Rolnej i przeczytać, w jakim celu Unia z takim uporem wciąż przeznacza prawie 40 proc. budżetu na wsparcie dla rolnictwa. I zapytać, czy Polska, będąc największym beneficjentem tych olbrzymich pieniędzy, cele te realizuje? Jakie korzyści odnosi z nich nasze rolnictwo? Rząd PO-PSL takich pytań sobie nie zadaje, podobnie zresztą jak poprzednicy. Dlatego kara, jaką nałożyła na nas Komisja Europejska, nie jest wprawdzie pierwszą, ale może nie być też ostatnią. Ani najwyższą. Błędem kolejnych, od 2004 r., ministrów rolnictwa (zarówno



z SLD, jak i PiS, a obecnie PSL) przy rozdzielaniu wsparcia dla małych gospodarstw było nie tylko lekceważenie unijnych procedur. Żądane przez Brukselę kilkuletnie biznesplany – jakich nie wymagały polskie władze od polskich rolników starających się o 1250 euro rocznie – nie były tylko przejawem rozdeptanej biurokracji. Miały z grupy starających się o wsparcie niedochodowych gospodarstw wyłonić te, którym umożliwi ono trwałe osiągnięcie rentowności. Spośród prawie 2 mln gospodarstw rolnych w naszym kraju zaledwie jedna trzecia produkuje

cokolwiek na rynek. Tylko o nich można powiedzieć, że są rolnictwem. Właścicielom kolejnej jednej trzeciej należałoby pomóc znaleźć źródła utrzymania poza rolnictwem, ich gospodarstwa nie są rozwojowe, a ich wspieranie nie ma ekonomicznego sensu. Środki, za których złe wykorzystanie mamy zostać ukarani, miały służyć kolejnej grupie, tej, co to „na dwoje babka wróżyła”. Czyli wyselekcjonowaniu z niej tych gospodarstw, które dzięki wsparciu mają szanse doszłusować do towarowych i poprawić

zacoфанą strukturę naszego rolnictwa. Tymczasem i te wydane pieniądze okazały się pomocą socjalną, utrwaliły tylko wiejski skansen. Założony cel nie został osiągnięty.

Polscy rolnicy mogą sięgać po unijne pieniądze do kilkudziesięciu różnych kieszeni. W każdej te pieniądze są po coś i na coś, mają pomóc zrealizować jakiś cel. My główkujemy przede wszystkim, jak się do nich dostać. Jeśli sami nie zadamy sobie pytania „po co?”, w końcu zrobią to za nas unijni audytorzy. A wtedy pieniądze będą musiały popłynąć w drugą stronę.



© STANISŁAW CIK

Jan Koza

385

osób zatrudnionych w Kancelarii Premiera ma umowę o pracę na czas nieokreślony.

Na czas określony premier zatrudnia 13 pracowników. W Kancelarii przy Alejach Ujazdowskich pracuje też 128 pracowników mianowanych. Ta ostatnia forma zatrudnienia w służbie cywilnej wiąże się z dodatkowymi uprawnieniami (np. dodatek służby cywilnej, dodatkowy urlop wypoczynkowy), ale także ze zwiększoną dyspozycyjnością oraz obowiązkami i ograniczeniami: pracownik mianowany musi składać oświadczenie majątkowe, nie może należeć do partii politycznych ani uczestniczyć w ich tworzeniu. Tu umów śmieciowych nie ma. (Dąb.)



© JAN KOZA

Sędziowie kontra CBA

Sędziów Marka Celeja i Pawła Rysińskiego łączy wieloletnie doświadczenie w wykonywaniu zawodu sędziego, a także wbrew pozorom krytyczna ocena działalności Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Ten pierwszy sędził w I instancji byłą poseł Beatę Sawicką i burmistrza Helu Mirosława Wądołowskiego, których uznano za winnych. Ten drugi w Sądzie Apelacyjnym unieważnił poprzedni wyrok i ich prawomocnie uniewinnił. Obaj poddali krytyce metody CBA stosowane za czasów Mariusza Kamińskiego, chociaż sędzia Rysiński uczynił to osobiście (podczas wygłaszania uzasadnienia) i bardziej sugestywnie, a wątpliwości Marka Celeja dały się zauważyć podczas rozpraw i bardziej dotyczyły metody zastosowanej przez CBA wobec burmistrza Helu, któremu agenci dali pieniądze, chociaż ani ich nie żądał, ani o nich nie wiedział.



Marek Celej

Przewodniczył składowi Sądu Okręgowego w Warszawie, który w maju 2012 r. uznał winę Beaty Sawickiej i Mirosława Wądołowskiego. Dzisiaj tamten wyrok jest przywoływany przez prawników i publicystów w kontekście werdyktu Sądu Apelacyjnego uniewinniającego oboje i chwalony. Ale sędzia Celej nie pasuje do wizerunku guru prawniczych środowisk. Wcześniej z tej samej strony

krytykowano go m.in. za fakt, że wszedł w skład Krajowej Rady Sądowniczej jako kandydat zaproponowany przez kancelarię prezydenta Kwaśniewskiego.

Celej wymyka się jednoznacznym ocenom, to sędzia, który chadza własnymi ścieżkami. Uważany jest za znawcę prawa karnego i świetnego praktyka. To on orzekł w słynnej sprawie Lwa Rywina. Sąd uznał, że Rywin jest winny, ale nie było dowodów na istnienie grupy trzymającej władzę. Marek Celej zgłosił votum separatum, uznał, że kara dla producenta filmowego powinna być niższa. W apelacji karę faktycznie zmniejszono z 2,5 do 2 lat więzienia.

W sprawach karnych, w których uczestniczył (a sędził m.in. sprawców zabójstw, głośnych napadów czy gangsterów), rzadko podważano firmowane przez niego wyroki. Wyrok na Sawicką to jeden z nielicznych przypadków, kiedy jego ocena rozminęła się z wyrokiem apelacyjnym.

Często wypowiada się o sprawach ważnych dla środowiska sędziowskiego, krytykuje niskie płace, a także system kwalifikacji kandydatów na sędziów. Jest zwolennikiem przywrócenia stanowisk sędziowskich asesorów, uważa bowiem, że tylko praktyka na sali sądowej pozwala właściwie ocenić przydatność do zawodu.

Paweł Rysiński

Od ponad 10 lat jest sędzią Sądu Apelacyjnego, wcześniej orzekał w stołecznej instancji okręgowej. – *To bardzo dobry sędzia, odważny, często stawiający sprawy na ostrzu, może nie noża, ale prawa* – mówi jeden z byłych przełożonych sędziego Rysińskiego. Ma 58 lat i zapewne pełną świadomość, że po wyroku na Sawicką stanie się kolejnym po Tulei celem ataków środowisk prawniczych. Już trwa szukanie słabych punktów w jego biografii, ale z mizernym, jak na razie, skutkiem. Z braku lepszych argumentów sięgnięto do wyroku Rysińskiego w lustracyjnej sprawie Lecha Wałęsy. Jakim prawem uznał, że Wałęsa nie był kłamcą lustracyjnym? – zagrmie publicyści z prawej strony. Z satysfakcją odnotowali też, że to sędzia Rysiński orzekł o uchyleniu aresztu dla dr. Mirosława G.

Gdyby sięgnęli głębiej, zdziwiliby się, że ten sam Rysiński uznał przed laty za winnego Jerzego Urbana za ujawnienie w tygodniku „Nie” tajnych materiałów SB dotyczących Zdzisława Najdera – Urban został skazany m.in. na zakaz wykonywania zawodu redaktora naczelnego, co później w wyższej instancji zmieniono.

W innej głośnej sprawie zmniejszył odszkodowanie za represje w PRL dla ministra sprawiedliwości Andrzeja Czumy z blisko 90 tys. zł do 25 tys. Natomiast w apelacyjnej sprawie zabójców Krzysztofa Olewnika podtrzymał w całości surowy wyrok sądu z Płocka.

Sędzia Rysiński, uniewinniając Sawicką, skrytykował jej postawę moralną, chociaż ta ocena nie wynikała z przesłanek prawnych. Sędzia jest znany z tego, że w ustnych uzasadnieniach używa figur retorycznych, które wykraczają poza hermetyczny język kodeksowy. To cecha, która łączy go z sędzią Igiem Tuleją.

PIOTR PYTLAKOWSKI



Nauczanie imamów

Wizytą edukacyjną wybiera się do Polski 13 imamów z Indonezji, Palestyny, Arabii Saudyjskiej i innych krajów muzułmańskich oraz pięciu z USA. Są to w większości wykładowcy islamskich uniwersytetów, którzy przyjeżdżają do Polski, aby bliżej poznać dzieje narodu żydowskiego. Zdaniem koordynatora projektu prof. Marshalla J. Bergera z Uniwersytetu Katolickiego w USA, zaproszeni duchowni wciąż jeszcze czerpią informacje o judaizmie m.in. z osławionych „Protokołów Mędrców Syjonu” i podatni są na wielorakie uprzedzenia. Dlatego rozpoczynający się 20 maja pobyt w Polsce ma im dać okazję do wzbogacenia i zniuansowania ich wiedzy. Zaplanowano zwiedzanie byłego obozu nazistowskiego w Auschwitz oraz miejsc związanych z warszawskim i krakowskim gettem; przygotowywane są spotkania z ocalonymi i Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata, będzie również wizyta w powstającym **Muzeum Historii Żydów Polskich**, a także konferencja na temat mowy nienawiści i sposobów jej zwalczania. Gości podejmie kosztowną kolację naczelnym rabin Michael Schudrich, a kardynał Dziwisz zaprosił ich na rozmowę. Wizyta zakończy się 24 maja modlitwą w Centrum Muzułmańskim w Krakowie. (R.F.)



Rosjanie pod Jasną Górą

Po awanturze w sprawie budowy nowej nittki rosyjskiego gazociągu przez Polskę i ocaleniu tarnowskich Azotów przed rosyjskim przejęciem panuje powszechne przeświadczenie, że noga inwestora z Rosji w żadnej strategicznej branży u nas nie postanie. Wypada więc przypomnieć, że nie powiodła się obrona Częstochowy, gdzie Rosjanie są od kilku lat, chociaż pośrednio. W 2010 r. zostali współwłaścicielami Huty Częstochowa. Ukraiński koncern Przemysłowy Związek Donbasu (ISD), właściciel huty, zmuszony był odsprzedać pakiet kontrolny swoich akcji rosyjskiej grupie inwestorów branżowych. Nabył go oligarcha Aleksander Katunin, doktor fizyki, współwłaściciel grupy EvrazMetall i grupy Carbofer, jeden z najbogatszych Rosjan, choć nieafiszujący się ze swym majątkiem. Carbofer, firma założona w Lugano w Szwajcarii, jest jedną z największych grup w branży stalowej na świecie, a w Rosji jest największą na tamtejszym rynku rur i stali. Współwłaścicielami grupy, jak spekulowali rosyjscy i polscy dziennika-

Mkrtchana i jest niezależna od części hutniczej oraz od ISD Polska.

Na światowym rynku panowała wówczas hossa na stal i wydawało się, że nie będzie jej końca. ISD zainwestował sporo pieniędzy w modernizację: częstochowska huta stała się jednym z najnowocześniejszych producentów hutniczych. Tymczasem przyszedł kryzys, a z nim utrata części rynków, zwłaszcza okrętowych. Ale przede wszystkim zmieniła się sytuacja polityczna na Ukrainie. Taruta i Hajduk, sympatyzujący z rządami „pomarańczowych”, deklarowali się jako zwolennicy proeuropejskiego kursu Ukrainy. Kiedy w 2010 r. nastąpiła zmiana na fotelu prezydenta i do władzy powrócił Wiktor Janukowycz, koncern ISD popadł w kłopoty, najpierw z kupnem rudy na Ukrainie, a następnie na tle podatkowym. Zajęto nawet w poczet długu majątek trzech należących do spółki kombinatów metalurgicznych. Koncern zaczął mieć poważne trudności finansowe, Hajduk, Taruta i trzeci wspólnik Oleg Mkrtchan zostali zmuszeni



Rosjanie są, pośrednio, współwłaścicielami Huty Częstochowa. Ukraiński koncern Przemysłowy Związek Donbasu (ISD), właściciel huty, zmuszony był sprzedać im pakiet kontrolny.

rze ekonomiczni, są: Roman Abramowicz, jeden ze światowych krezusów (nazywany sakiewką Kremla), oraz Aliszer Usmanow, najbogatszy Rosjanin, właściciel rosyjskiego koncernu metalurgicznego Metalloinvest. Spekulowano nawet, czy Katunin nie jest jedynie pośrednikiem kupującym w imieniu innych rynkowych graczy.

Przemysłowy Związek Donbasu, założony przez donieckich oligarchów Sierhija Tarutę, Witalija Hajduka (uważanego w przeszłości za jedną z najbardziej wpływowych osób na Ukrainie, wicepremiera w gabinecie Wiktora Janukowycza w 2002 r.), kupił Huta Częstochowa oraz 12 spółek zależnych w 2005 r. Planowano utworzenie konsorcjum stalowo-stoczniowego, bo Huta Częstochowa produkuje wysokiej jakości blachy grube, okrętowe. To dlatego spółka-córka ISD nabyła też większościowy pakiet akcji Stoczni Gdańsk. Gdańsk Shipyard Group należy dziś do Sierhija Taruty, Olega

do odsprzedaży pakietu kontrolnego akcji ISD Rosjanom, którzy w ten sposób stali się współwłaścicielami częstochowskiej huty.

Formalnie nic się nie zmieniło, Taruta i Mkrtchan nadal są współwłaścicielami ISD, szefem polskiej części ISD jest niezmiennie Konstanty Litwinow, w Częstochowie rządzą ci sami prezesi, ale za plecami mają Rosjan. Huta Częstochowa od 2009 r. jest deficytowa, spółka rosyjsko-ukraińska dołożyła już ok. 1 mld zł na pokrycie strat, a worek wydaje się nie mieć dna: huta jest na skraju bankructwa, z przerostem zatrudnienia i ciążącym jej pakietem socjalnym, który chroni 3 tys. pracowników niemal do końca 2015 r. Żeby ocalić zakład przed plajtą, należałoby zwolnić co najmniej 1,5 tys. osób. Właściciel ma jednak skrupowane ręce. Dziś Rosjanie i Ukraińcy nie chcą już dopłacać do biznesu stalowego w Polsce. Jeśli huta nie zacznie zarabiać, grozi jej upadek.

JAGIENKA WILCZAK

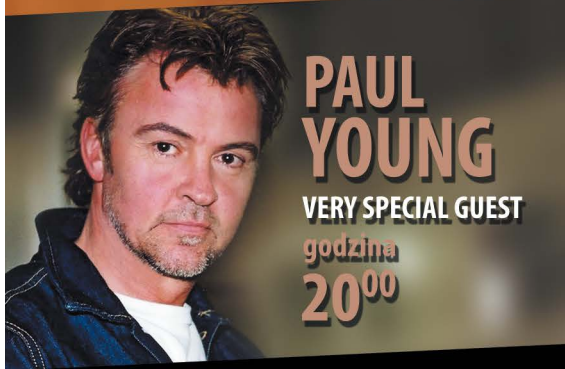
Jedyny w Polsce koncert duetu
SENZA UNA DONNA!
Tylko w Dolinie Charlotty!



14.06 2013

Dolina Charlotty

Strzelinko 14, 76-200 Słupsk
www.dolinacharlotty.pl



PAUL YOUNG
VERY SPECIAL GUEST
godzina
20⁰⁰

Bilety już w sprzedaży na
www.ticketpro.pl oraz www.eBilet.pl

POLECA:  Jedynka

 Bank Polski

 Energa

 mopol

 TYSKIE

 Igorrex

 amts

 POLITYKA

 GŁOS POMORZA

 WP.PL



© AP/EAST NEWS

Irlandia rozmawia o aborcji

Rząd Irlandii przymierza się do złagodzenia bardzo restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej z 1861 r. Projekt nowych przepisów zakłada m.in. możliwość usunięcia ciąży w razie zagrożenia życia matki, a także wtedy, gdy kobieta groziłaby popełnieniem samobójstwa. Zgodę na aborcję będzie musiał wydać zespół co najmniej dwóch, a w przypadku groźby targnięcia się na życie – trzech lekarzy. Dziś w Irlandii usunąć ciążę można tylko wtedy, gdy stanowi realne zagrożenie dla życia kobiety. Ponieważ jednak brakuje wytycznych, co stanowi takie zagrożenie, lekarze, powołując się na klauzulę sumienia, przeprowadzenia aborcji zazwyczaj odmawiają. Tak jak pół roku temu, kiedy zabiegu odmówiono 31-letniej Hindusce Savicie Halappanavar, która zgłosiła się do szpitala z bólami kręgosłupa w 17 tygodniu ciąży. Mimo że według przeprowadzonych badań płód obumierał, lekarze nie przeprowadzili aborcji, narażając tym samym zdrowie kobiety, która w cztery dni po naturalnym poronieniu zmarła z powodu sepsy. Rząd chciałby, aby nowe prawo weszło w życie już w lipcu. W silnie katolickiej Irlandii debata nad projektem będzie jednak trudna – przez ostatnie 30 lat Irlandczycy pięciokrotnie odrzucili w referendum propozycje zalegalizowania aborcji. Jak podkreśla jednak premier, Irlandki nie tylko coraz częściej korzystają ze środków wczesnoporonnych (zakazanych w kraju, ale dostępnych w Internecie), ale też każdego dnia 11 ciężarnych kobiet wyjeżdża z Irlandii do Wielkiej Brytanii, aby tam przeprowadzić zabieg.

O antykoncepcji w Polsce – s. 26.

Kasa z nieba

Te pieniądze były jak duchy – mówią bliscy współpracownicy prezydenta Afganistanu. – Pojawiały się potajemnie i tak też zniknęły. Według „New York Timesa” chodzi o kwoty od kilkuset tysięcy do kilku milionów dolarów, które agenci CIA co miesiąc zrzucali wprost na teren rezydencji prezydenckiej **Hamida Karzaja**. Agenci pakowali gotówkę w walizki, plecaki, a nawet w plastikowe torby z lokalnej sieci detalicznej.

To pieniądze przekazywane poza oficjalną amerykańską pomocą dla Afganistanu, która i bez tego idzie w setki milionów dolarów. Prezydent Karzaj nie ma sobie nic do zarzucenia. W reakcji na rewelację amerykańskiego dziennika powiedział, że te pieniądze są wciąż kluczowe z punktu widzenia funkcjonowania jego urzędu – mimochodem przyznał w ten sposób, że nadal je otrzymuje od CIA. Karzaj oświadczył, że przeznacza je głównie na opłacanie lojalności przywódców plemiennych, ale również na leczenie swoich współpracowników, a także na prezydenckie stypendia. Jego przeciwnicy twierdzą jednak, że większość gotówki z amerykańskich rzutów trafia wprost do kieszeni prezydenta.



© EAST NEWS

Tańce ukraińskie

Jagienka Wilczak



Ukraina w drodze do Europy robi krok w przód i dwa kroki wstecz. Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu orzekł, że w stosunku do Julii Tymoszenko ukraiński sąd złamał konwencje o prawach człowieka i naruszył zasady demokratycznego państwa prawa. Aresztowanie i skazanie byłej premier to był wielki krok do tyłu. To dlatego – mimo zabiegów Warszawy – Unia nie podpisała z Kijowem w ub.r. parafowanego już dokumentu o stowarzyszeniu. Krokiem w przód jest reforma prawa rozpoczęta przez parlament nowej kadencji. A także wypuszczenie na wolność Jurija Łucenki, ministra w rządzie Tymoszenko, i wydanie zgody na jego wyjazd do Polski na leczenie.

Wiele krajów europejskich odpuściło już sobie promowanie Ukrainy, nie widząc efektów, czyli demokracji. Tylko Polska nie rezygnuje i o Ukrainę niezmiennie walczy w Brukseli. Słusznie podnosząc w rozmowach z obu stronami, że włączenie Ukrainy do strefy wolnego handlu to dla Kijowa korzyść strategiczna,

po niej przyjdzie czas na korzyści ekonomiczne. W przeciwnieństwie do wejścia w układ z Rosją, który może przenieść obiecane korzyści gospodarcze (w postaci taniego gazu i otwarcia rynku pracy), ale strategicznie będzie porażką.

Litwa, która przejmuje prezydenturę w lipcu br., jest w tym samym obozie co Polska, a litewski minister spraw zagranicznych Linas Linkevicius (który niedawno odwiedził Kijów wraz z Radosławem Sikorskim) zapewnia, że zrobi, co możliwe, by umowę stowarzyszeniową podpisano w Wilnie podczas szczytu Partnerstwa Wschodniego w listopadzie tego roku. Ale żadnego prezentu nie będzie. Ukraina musi zaniechać wybiórczego stosowania prawa i dokonać zmian ordynacji wyborczej. Czasu do unijnego „sprawdzianu” jest coraz mniej. Ułaskawiając teraz Tymoszenko, prezydent mógłby pokazać klasę. Nie chce skorzystać z szansy, jaka się otworzyła przed Ukrainą, czy udaje, że jej nie widzi?

Izrael atakuje w Syrii

Trzy chirurgicznie precyzyjne ataki od początku roku, w tym dwa w ciągu zaledwie czterech dni – to aktualny bilans zaangażowania izraelskich sił zbrojnych w Syrii. Eksperci mówią już dziś o zmianie jakościowej, bo choć ataki na suwerenne terytorium sąsiada zdarzały się już wielokrotnie, zmieniły się przede wszystkim cele Izraelczyków. W styczniu obiektem ataku armii był podążający w stronę Libanu konwój z zaawansowanymi rosyjskimi systemami ziemia–powietrze SA-17, które doskonale nadają się do zestrzeliwania nisko manewrujących izraelskich myśliwców F-16. 2 maja Izraelczycy na lotnisku pod Damaszkiem zniszczyli hangar wypełniony irańskimi rakietami Fateh-110. Gdyby zainstalowano je w południowym Libanie, swoim zasięgiem objęłyby cały Izrael. Poza tym byłby to skok technologiczny dla domniemanego odbiorcy, czyli Hezbollahu – napędzane paliwem stałym Fateh-110 są bez porównania celniejsze od całego dotychczasowego arsenału tego irańskiego sojusznika w Libanie. 600-kilogramowy ładunek dostarczący na miejsce z dokładnością do 200 m. I w końcu w ostatnią niedzielę atak na syryjskie Centrum Badań Naukowych w Dżamraji, którego celem były prawdopodobnie przechowywane tam, a przeznaczone również dla Hezbollahu, rosyjskie pociski manewrujące Jachont do niszczenia okrętów.



© AP/AFEST NEWS

Takiej broni w tym regionie Bliskiego Wschodu jeszcze nie było. Izraelscy eksperci są przekonani, że jeśli dotarłaby do Libanu, zupełnie unieważniłaby strategiczne kalkulacje Izraela, a jej użycie doprowadziłoby pewnie do nowej regionalnej wojny. Problem w tym, że nie wiadomo, ile takich transportów broni Izrael już przeoczył.

Turku, nie pij!

Premier Recep Tayyip Erdoğan na sympozjum poświęconym polityce społecznej wezwał rodaków, aby porzucili piwo i wysokoprocentową anyżkową raki na rzecz ajranu, pianistego napoju na bazie jogurtu. „Już mój dziadek uważał, że w imię zdrowia narodu to właśnie powinien być nasz narodowy trunek” – tłumaczył. Pełzająca islamizacja życia codziennego spod znaku Erdoğan'a wyraźnie chce ograniczyć konsumpcję alkoholu. Nie jest to tu drastyczny problem społeczny: według TurkStatu, głównego urzędu statystycznego, 85 proc. Turków w ogóle nie pije alkoholu. Tym łatwiej zniechęcać pozostałych, głównie

metodą finansową: po kolejnym zwiększeniu podatków i narzutów za butelkę raki trzeba w restauracji zapłacić – w przeliczeniu – grubo ponad 100 zł. Miasto Afyon, w zachodniej części kraju, wprowadziło zakaz konsumpcji alkoholu w miejscach publicznych, ale został zaskarżony. Natomiast liczba punktów sprzedaży w całym kraju systematycznie spada. Tureckie narodowe linie lotnicze Turkish Airlines po cichu wycofały alkohol z pokładu na ośmiu trasach bliskowschodnich. Teraz podobne kroki chcą podjąć na trasach do Rosji, ale ten akurat kierunek ataku na picie chyba nie do końca jest przemyślany.

Katar zakrywa

Kiedy grecki minister kultury Kostas Tzavaras pojawił się na uroczystym otwarciu wielkiej ekspozycji olimpijskiej w Dosze, stolicy Kataru, zauważył z konsternacją, że wypożyczonym przez Ateny antycznym męskim rzeźbom, mającym stanowić główną atrakcję artystyczną wystawy, założono czarne przepaski w okolicach bioder. Interwencja ministra skończyła się tym, że feralne posągi zostały dyskretnie spakowane i odesłane gospodarzom. Z wyjaśnieniem, że wystawę będzie oglądać wiele wycieczek szkolnych. Katar ma ambicje, aby zostać w regionie liderem postępu i nowoczesności, a także sportu. W 2022 r. ma organizować mistrzostwa świata w piłce nożnej. Może do tego czasu upora się ze sportowym dziedzictwem sprzed naszej ery.



© CORBIS

Panowie, siadamy

Kto wie, czy tak właśnie nie zaczyna się nowa obyczajowa rewolucja. Viggo Hansen, szwedzki poseł z ramienia socjalistów, wystąpił z inicjatywą uregulowania prawnego nakładającego na mężczyzn obowiązek oddawania moczu na siedząco. Na razie testuje je w podstockholmskim Södermanland, gdzie projekt poddawany jest pod głosowanie w radzie regionu. Brzmi to może nie najpoważniej, ale argumenty Hansena są istotne. Najważniejszy: taka sytuacja na kolejnym odcinku zrównywałaby płcie. Do tego istotny aspekt higieniczny, wystarczy zajrzeć do dowolnego publicznego pisuaru. Według Hansena, podnoszona przez niego kwestia stanowi dziś istotne pole kłótni małżeńskich (o podnoszenie deski), a ponadto sikanie na siedząco zmniejsza ryzyko raka prostaty (czego akurat lekarzom na razie nie udało się dowiedzieć). Wcześniej, w sierpniu 2012 r., z taką inicjatywą wystąpił tajwański minister środowiska Stehen Shen i nie spotkała się ona z większym zrozumieniem. Ale początki wielkich zrywów obyczajowych przeważnie są skromne.



© FPM



Lanie ciepłej wody

Premier Tusk, jego rządowa ekipa i cała Platforma są zagrożone zabójczą polityczną chorobą – niepowagą.

MARIUSZ JANICKI

Wielotygodniowa epopeja z odwoływaniem Jarosława Gowina z ministerialnej funkcji, mimo że zakończona w końcu jego zwolnieniem, nie pokazała siły Tuska. Trudno nie zauważyć, że w przypadku Gowina Tusk bohatercko walczył z problemem, który sam, na własne życzenie i wbrew ostrzeżeniom, w 2011 r. stworzył. I tak jest coraz częściej.

Przez pięć i pół roku Donald Tusk rządził według trzech wyraźnie dostrzegalnych zasad. Pierwsza: unikać niepopularnych reform, ponieważ są niepopularne i nie można tego robić ludziom („sami sobie przeprowadzajcie bolesne reformy”). Druga: jeśli już nie da się uniknąć jakiejś reformy, to najpierw wypuszcza się sondażowe, nie wiadomo do końca czyje propozycje, a potem premier podsumowuje dyskusję i ewentualnie staje na czele kontestatorów projektu („premier zmienia zdanie”). I trzecia zasada: Tusk długo jest łagodny, kłuczy, unika zmian, także w swoim otoczeniu, aż nagle uderza jak tajfun, ogłasza jakiś kontrowersyjny projekt, wyrzuca ludzi, wprowadza popłoch i zamieszanie („Tusk się wściekł”).

Te metody długo wydawały się skuteczne, ale teraz nadchodzą ich zmierzchy. Premier przez lata wyznawał pogląd (zaczepnięty z Johna Graya, brytyjskiego teoretyka liberalizmu), że rządzenie polega nie na kreowaniu autorskich wizji, ale na reagowaniu na bieżące wyzwania i zagrożenia, bo to zmniejsza prawdopodobieństwo pomyłki. W efekcie jednak zamiast przywódcą został kimś w rodzaju kierownika jednostki wykonawczej państwa, naczelnym hydraulikiem kraju, konserwatorem kranu z ciepłą wodą.

Rosnąca niepowaga rządów Tuska ma kilka wymiarów. Kiedy po raz kolejny „zmienia zdanie”, jak ostatnio w kwestii tzw. matek pierwszego kwartału czy opłat za dodatkowe godziny dziecka w przedszkolu, to jeszcze niedawno mogłoby być to uznane za chwalebny skłonność do negocjacji, polityczną elastyczność, pójście na rękę obywatelom. Ale wahadło wychyliło się inaczej. Teraz szef rządu wypada słabo, wątpliwości są rozstrzygane na jego niekorzyść, ponieważ zaczyna przeważać opinia, że widocznie projekty rządowe są źle przygotowane. I chociaż ci, którzy akurat coś ugrali, mogą czuć zadowolenie, a nawet chwilo-wo lubić premiera, to ogólny wizerunek władzy się osłabia. Jeśli nagle mogą się znaleźć na coś dodatkowe pieniądze, to mogą się znaleźć – łatwo tak pomyśleć – na wszystko. Żaden projekt nie jest wyróżniony, podparty autorytetem władzy, a pomysły rządu mają tę rangę, co propozycje skrzykniętej w Internecie obywatelskiej grupy interesu.

Nasuwa się dręczące pytanie, po co była ta wielomiesięczna szarpanina w sprawie urlopów macierzyńskich, kiedy wylewało się morze gorczy i krytyki rządu. Straty polityczne są dużo większe niż wtedy, gdyby Tusk od początku nie upierał się przy granicznej dacie urlopów w marcu, a nie od stycznia. To tylko jeden przykład, ale podobnie jest w kwestii przedszkoli czy sprawie wieku szkolnego, gdzie rząd zmieniał zdanie od kilku lat, powiększając chaos i nieporozumienia. Jeżeli premier obawia się kosztów reform, to można odnieść wrażenie, że te koszty w końcu są znacznie większe od tych, jakie były nieuniknione. A irytowanie ludzi okazuje się niepotrzebne, bo i tak pierwotne projekty (w intencji mające przynieść oszczędności) nie są realizowane albo, co najwyżej, połowicznie.

Donald Tusk coś deklaruje, potem gdzieś to niknie za horyzontem, nie ma dalszego ciągu. In vitro, związki partnerskie, ale i sprawa emerytur górniczych czy sławetnego Ministerstwa Energetyki. Jak również PIT dla rolników, energetyka jądrowa, łupki, decentralizacja NFZ, Inwestycje Polskie, zmiana kodeksu pracy, Karta Nauczyciela, zniesienie obowiązków meldunkowego. Powstał podobno tzw. zespół Laska do sprawy Smoleńska, ale był to najcichszy start roku w najgłośniejszej sprawie dekady. Nie bardzo wiadomo, co jest poważnym, przemyślanym projektem, co mającą konkretny harmonogram rządową inicjatywą, a co luźnym słowotokiem premiera czy jakiegoś ministra. Tusk jest niby twardy, stanowczy, ale potem nagle ustępuje „pod serdeczną presją”. To dlaczego ma serdecznie nie ustąpić górnikom, nauczycielom, emerytom mundurowym, PSL czy przewodniczącemu Dudzie?

Nie widać w tym żadnego planu. A przy tym szef rządu traci społeczną sympatię, jest coraz gorzej oceniany, a zaufanie w sondażach ma już na poziomie Jarosława Kaczyńskiego, który przez lata dołował w tym rankingu i nadal nie błyszczy. Widać to też w komentarzach ludzi dotąd sprzyjających Tuskowi, na Twitterze i w innych serwisach; jego kolejne wystąpienia są kwitowane coraz złośliwymi komentarzami, coraz częściej bywają obśmiewane i parodiowane.

Kiedyś trwało gorączkowe wyczekiwanie, aż Donald Tusk skądś wróci, z Brukseli albo z nart, i zabierze głos, wyjaśni, uporządkuje, podejmie kroki. Teraz nie czuje się już tego wyczekiwania. Wypowiedzi premiera straciły moc, mało wyjaśniają, na ogół są to reakcje na jakieś polityczne i medialne „wrzutki”. Częściej też wprowadzają jeszcze większy zamęt, z tymi tajemnicami na zasadzie: powiem, kiedy powiem, podejmę decyzję o decyzji, poczekajmy do poniedziałku.

Na jednym z prawicowych portali pojawiła się ostatnio opinia: „Władza dawno nie była tak słaba. Tusk ustępuje poszczególne środowiskom, bo boi się społecznego wybuchu. Tak jak Gierek przed końcem dekady” i chociaż taki pogląd to chciejstwo i gruba przesada, i jest pisany z pozycji zdecydowanie wrogich rządowi Platformy, to zaczyna on przeciekać także poza krąg PiS. Tusk zaczyna zachowywać się jak premier słabego mniejszościowego rządu u schyłku męczącej kadencji. Rzeczywiste osiągnięcia toną w ogólnym laniu wody. Jeśli nieważne jest, czy się powie czy zrobi, to rzeczywiste zrobienie czegoś (choćby emerytalne reformy) też staje się nieważne.

Sytuacji nie poprawia atmosfera wokół rządu PO-PSL. Coraz to powracające wieści, że główny doradca premiera pisze nowe książki z gatunku literatury pięknej, że kolejni ministrowie mają ochotę kandydować do europarlamentu (ostatnio mówi się o Bonim), że Sikorski chętnie zastąpiłby na stanowisku panią Ashton, a sam Tusk – Barroso, mogą robić wrażenie (niezależnie od stanu faktycznego), że ten zespół już nie będzie gryzł trawy, bo zawodnicy myślą o transferach. Także epopeja z Jarosławem Gowinem (podobnie jak i wcześniejsze pokazowe usunięcie ministra skarbu Mikołaja Budzanowskiego) nie przydaje powagi. Premier zwalnia ludzi, których sam wymyślił jako nowe twarze „autorskiego rządu”. Czuć już narastający problem ze znalezieniem kolejnych „zderzaków” po zapowiadanej, letniej rekonstrukcji gabinetu. Ze zbyt wielu źródeł, aby je bagatelizować, pojawia się wieść, że tak długie trzymanie na stanowisku Gowina było spowodowane również tym, że brakło pomysłu, kim go zastąpić...

I wreszcie sama Platforma: zasiedziała partia władzy, której się już nie chce. Nie chciało się w Elblągu, gdzie mieszkający odwołali platformiane władze miasta za konkrety, ale też i po prostu za arogancję (szykowane jest referendum w Warszawie). Nie chciało się w Zabrzu, gdzie na senatora, przy walnym udziale całej partii, wybrano polityka PiS, a kandydat Platformy pozostał bez żadnego wsparcia. W Platformie słychać

uspokajające głosy, że frekwencja w Zabrzu była marna, bo tylko 11 proc., a jak przyjdzie co do czego, to lemingi znowu ruszą do wyborów i wesprą nas, bo przecież nie PiS.

To niezupełnie tak. Frekwencja w zabrzańskich wyborach była dwu-, trzykrotnie wyższa niż zazwyczaj w przedterminowych wyborach do Senatu. Po prostu wyborcy Platformy nie poszli do urn (nie chciało się im?). Z ostatnich ogólnopolskich sondaży wynika, że w tej chwili do wyborów ruszyłoby niewiele ponad 40 proc. uprawnionych. Zwykle chęć uczestniczenia deklaruje ok. 60 proc., a rzeczywiście idzie do urn ok. 50 proc. Gdyby zatem zachować te proporcje, szykuje się na razie rekordowo niska frekwencja, przy której PiS będzie się czuł jak ryba w wodzie, bo partia ta jak mało która umie obryzdać wybory i zniechęcać do nich wszystkich, którzy nie głosują na Kaczyńskiego.

Premier okresowo pohukuje na PO, wzywa do mobilizacji, zapowiadane jest czyszczenie szeregów, ale ma to bardziej rytualne niż realne znaczenie. Nie zapobiega

to ujawnianym przypadkom nepotyzmu czy wykorzystywania stanowisk. W Platformie ponadto można usłyszeć, że posłowie już zaczęli przeliczać, jakie szanse wyborcze będą mieć przy wyniku nie ponad 40 proc., jak w 2011 r., ale być może poniżej 30 proc. Trzeba być wyżej na liście, bo liczba miejsc „biorących” mocno się skurczy. Zamiast więc działać na rzecz polepszenia sondaży i powiększenia puli, zaczynają wydreptywać własne interesy, adaptować się do puli mniejszej. Nikt się nie chce wychylać w żadną stronę, aby nie podpaść jakąś nietrafioną inicjatywą i nie zostać źle zapamiętanym. Bezpieczniej nie robić nic. Tak jest w każdym ugrupowaniu, ale w tych większych silniejsze jest zjawisko bezwładu, trudniej ugrupowaniem potrząsnąć tak mocno, aby suche szyszki odpadły.

Oczywiście, Donald Tusk wciąż umie opowiedzieć swoją sytuację, pokazać zewnętrzne ograniczenia. Potrafi dać do zrozumienia, że wiele spraw wygląda mętnie tylko dlatego, że obserwatorzy są słabo zorientowani. Nie znają wszystkich czynników, które on musi brać pod uwagę, a nie o wszystkich może publicznie powiedzieć (kryzys, koalicjant, układ sił w PO, opozycja, brak konstytucyjnej większości, unijne wymogi). Ale to jest jego własna racja, która nie musi być automatycznie brana pod uwagę przez wyborców. Oni mogą wyznawać potoczną zasadę, że jak coś wygląda jak kaczka i chodzi jak kaczka, to jest raczej kaczka. Jeśli zatem widać nieudolność, pogubienie, nieróbstwo, brak determinacji czy olewanie ciepłą wodą, znaczy to dokładnie to, co widać. Niuanse i subtelności, o których wie premier, są niefunkcjonalne w sensie publicznego teatru.

Tusk to niewątpliwy polityczny talent i ma wciąż duży potencjał. Jeśli ponownie ruszy w Polskę umownym tuskobusem, nie musi przegrać. Problem w tym, że wyrażenie nie ma jeszcze jednolitej koncepcji na drugą kadencję, choć już niedługo minie jej połowa. Brakuje nowego stylu, komunikacyjnych ścieżek, świeżych słów i pomysłów, także politycznego behawioru – zasad, które nie byłyby już tak rozpoznane i rozbrojone. Premier działa siłą pierwszego rozpędu, nie udaje się włączenie wydajnego drugiego biegu.

Ludzie niby lubią równiachę, który potrafi przyznać się do błędu. Ale istnieje granica, poza którą nieustanne zmiany zdania, wycofywanie się, przyznawanie do pomyłek będzie oznaczać tylko tyle, że u władzy są nieudacznicy lub dekonwnicy. Dlatego Tusk nie uniknie porządnego, być może radykalnego resetu w rządzie i partii, nie przejmując się tym, na ile propagandowo wykorzysta to opozycja. Paradoksalnie, w dzisiejszej sytuacji Donald Tusk może pokonać Jarosława Kaczyńskiego wyłącznie wtedy, kiedy przestanie się na niego oglądać. Przestaje być silny z powodu PiS. Musi stać się silniejszy od PiS. Pasażerowie oczekują, że po okresie turbulencji kapitan rześkim, wypoczętym głosem poinformuje ich o kierunku lotu.

W Europie cywilizacja życia toczy wojnę
z cywilizacją śmierci, Polskę dławi cenzura.

Na szczęście jest TV Republika,
która po próbnym rozruchu w Internecie
rozpoczęła pełne nadawanie.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

Włączanie prawdy do polskiego systemu medialnego rozpoczęło się w Toruniu – stolicy niezależnej polskiej myśli. Datę startu szefowie TVR ogłosili pod koniec kwietnia, co nie spotkało się ze zrozumieniem ze strony ojca Tadeusza Rydzyka, dla którego nowa stacja to bezpośrednia konkurencja.

Prezentacja nowego kanału informacyjno-publicystycznego odbyła się na zasadach czysto rynkowych, na największej w Polsce konferencji operatorów kablowych i platform cyfrowych. Upředzenia wobec salonowego mainstreamu poszły w kąt, gdy okazało się, że w tym biznesie mniej znaczy liczba sympatyków spod krzyża na Krakowskim Przedmieściu, gotowych zapłacić dodatkowo pięć złotych za nowy kanał, niż liczba abonentów operatorów kablowych i cyfrowych.

Gdy największe stacje, w rodzaju TVN 24, kasują powyżej złotych za dostarczenie sygnału do pojedynczego abonenta, TVR dostanie jakieś 10–20 gr od tzw. gniazdka. Pomnożone przez niecałe trzy miliony abonentów Pakietu Familijnego Cyfrowego Polsatu, głównego jak na razie nadawcy sygnału TVR (tam można ją oglądać od poniedziałku 6 maja), daje przy skromnych szacunkach jakieś 300 tys. zł, czyli około jednej trzeciej miesięcznego budżetu niezbędnego do przetrwania. Taki zastrzyk gotówki pozwala nawet zapomnieć o przeszłości Zygmunta Solorza, właściciela pilsatowskiego imperium, wytrwale lustrowanego niegdyś przez obecnych dziennikarzy Republiki.

Ten egzotyczny wydawałoby się sojusz ma przełożenie na nową strategię TVR, która próbuje godzić ogień z wodą: trwając w kręgu smoleńsko-pisowskim, nie zamykać się na inne, nawet lewicowe i liberalne środowiska, z którymi do niedawna ludzie związani z „Gazetą Polską” nie chcieli mieć nic wspólnego. Publicysta POLITYKI Jacek Żakowski czy znany działacz środowisk LGTB i stołeczny radny SLD Krystian Legierski na łamach „Gazety Polskiej” czy „Frondy”? Niewyobrażalne. Republika, wychodząc z założenia, że nic tak nie przyciąga widza, jak starcie na wizji, zaprasza ich do komentowania bieżących wydarzeń, choć w przeważającej asyście dziennikarzy „Gazety Polskiej”, „Frondy” czy „Do Rzeczy”. Wielu z nich – m.in. Tomasz Sakiewicz, Tomasz Terlikowski, Cezary Gmyz, Anita Gargas ma w TVR własne programy. „Zadanie specjalne” – to śledcze okienko Gargas, „Starcie cywilizacji” prowadzi Tomasz Terlikowski (ze spotu promującego program można się dowiedzieć, że w „Europie od kilkudziesięciu lat toczy się wojna zwolenników genderyzmu i rodziny, cywilizacji życia i cywilizacji śmierci”), a „Kuchnię polską” – czyli „kto komu dopieprzy, kto komu przysoli, a kto komu będzie słodził” – Cezary Gmyz.

Ramówka TVR składa się głównie z nadawanych ze studia rozmów z zapraszającymi gośćmi (prowadzący: Michał Rachoń, Joanna Lichocka oraz Katarzyna Gójska-Hejke, wszyscy z „GP”) oraz programów publicystycznych. W pierwszych dniach nadawania sporo miejsca zajmują powtórki, co daje czasem humorystyczne efekty, gdy np. dowiadujemy się od prowadzącego program, że dochodził godz. 10, choć w rzeczywistości już dawno minęło południe. Na antenie wyraźnie widać PiS z lekką domieszką Solidarnej Polski, choć więcej tu polityków w rodzaju Przemysława Wiplera i Krzysztofa Szczerskiego niż Jarosława Kaczyńskiego i jego

Prawda nadaje



przybocznych, którzy w ocenie wielu prawicowych dziennikarzy nie są już zdolni do wygrania wyborów. Te oceny da się wyczuć także w Republice. Mariusz Błaszczak był dość mocno zbity z tropu, gdy w studiu TVR musiał się bronić przed ostrymi pytaniami prowadzącego program o to, jak PiS chce przeciągnąć na swoją stronę niezdecydowanych wyborców.

W jednym z programów pojawił się Józef Oleksy z SLD, był też związany z lewicą politolog Kazimierz Kik, przed kamerą sejmowego reportera TV Republika stają również politycy PO. Choć w kwestii zapraszania ich do studia dziennikarze natrafiają na pewien opór. Trudno jednak stwierdzić, na ile jest on podyktowany podziałami politycznymi, a na ile jedenastokilometrowym dystansem dzielącym studio TVR od Sejmu. – *Dzwonią w takich porach, że bardziej wydaje się, że to telefon alarmowy niż zaproszenie do studia* – narzeka pracownik sejmowego biura Platformy. Prezes Barełkowski widzi to na swój sposób. – *Pewnie są przyzwyczajeni do wazeliny, z jaką traktują ich w TVN 24* – twierdzi.

– *Trzeba iść szeroko* – przekonuje Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny „Gazety Polskiej” i wiceprezes Republiki. Słowa publicysty, który swoją siłę zbudował na „religii smoleńskiej”, mogą zaskakiwać. Tym bardziej gdy zapewnia, że TVR nie będzie pisowska. – *Chcielibyśmy, aby nasza telewizja była atrakcyjna także dla liberalnego odbiorcy. Oczywiście nie możemy obrażać naszych wiernych widzów, ale dla ludzi popierających PO czy SLD TV Republika może być ciekawą propozycją jako źródło informacji, które nie pojawiają się w głównych stacjach. Przecież jeśli ktoś popiera Tuska, to nie znaczy, że nie chce obejrzyć „Anatomii upadku”* – tłumaczy Sakiewicz.

„Wierny widz” musi usłyszeć, że „przed wojną pochody pierwszomajowe jeśli szły, to były pałowane i może należałoby do tego wrócić” (Rafał Ziemkiewicz), a „Polska jest krajem, w którym można brać łapówki i pozostać bezkarnym, jeśli jest się związanym z rządem” (Piotr Gabryel z „Do Rzeczy” o uniewinnieniu Beaty Sawickiej). TVR to strefa wolnego słowa i nikt nikomu nie będzie ust knebłował. Nawet gdy zaśpiewa, jak pewien prawicowy bard: „zwyciężyliśmy z kłamstwem katyńskim, zwyciężymy z kłamstwem smoleńskim”.

Wystarczy włączyć którykolwiek z programów informacyjnych lub publicystycznych w „przestrzeni wolnego słowa”, by stwierdzić, że linia jest trzymana, choć jej najostrejsze zakręty zostały trochę wyprostowane. Teoria kłamstwa smoleńskiego, która nie może się przebić w „głównych ośrodkach medialnych”? Oczywiście. Nie bez powodu TVR zadebiuto-



© IGOR SMIRNOW/GAZETA POLSKA/FORUM

wała w Internecie 10 kwietnia. Oktogen i heksogen na wraku? Jak najbardziej, ale już bez mówienia o zamachu czy tym bardziej wskazywania winnych w osobach Tuska-Putina i Komorowskiego.

Mamy misję dotarcia do młodych – mówiła Ewa Stankiewicz swym sympatykom na Krakowskim Przedmieściu w trzecią rocznicę katastrofy. To samo powtarza Piotr Barełkowski, prezes TVR i jej udziałowiec: – *Interesują nas młodzi widzowie, bo to z każdego punktu widzenia, także biznesowego, bardzo ważny odbiorca. Młodzi szukają sensu życia. Nasza stacja chce im dać punkt odniesienia.*

Jest w tym rzeczywiście pewien sens. Według telewizyjnego kanonu, odbiorca między 16 a 49 rokiem życia, mieszkający w dużym mieście, to najbardziej łakomy kąsek dla reklamodawców, a TVR oprócz dochodów ze sprzedaży sygnału chce (i będzie musiała) utrzymywać się również z reklam. A wielu młodych, szczególnie między 18 a 24 rokiem życia, ma poglądy konserwatywne, choć dalekie od *moheryzmu* i wyznawców kościoła toruńskiego. Dlatego TV Republika raczej odpuszcza walkę o najstarszego, ale i najbardziej widza, pozostawiając go ojcu Rydzykowi.

Ale specjaliści od reklamy telewizyjnej wątpią, czy młodych uda się przyciągnąć. – *Jeśli już, to na pewno nie tych bogatych z dużych miast. Bardziej z prowincji, a to lokuje TVR blisko TV Trwam* – wieszczy Marcin Boroszko, prezes AtMedia, największego na polskim rynku biura reklamy telewizyjnej tematycznych.

Z myślą o dotarciu do szerszego odbiorcy TVR zatrudniła kilkunastu młodych reporterów o wyrazistych poglądach. Pracują przede wszystkim dla głównego wydania serwisu informacyjnego „Dzisiaj” (codziennie o godz. 19.45). Zmodyfikowała również swój projekt biznesowy. Początkowo zakładał, że stacja będzie kanałem premium, dostępnym jedynie w Internecie i kablówkach za 5 zł miesięcznie. Teraz ma być dołączana do pakietów programowych, co oznacza, że widz nie poniesie z tego powodu dodatkowych kosztów. Na razie, oprócz Cyfrowego Polsatu, można ją oglądać w mniejszych sieciach kablowych oraz na stronie www (za 138 zł rocznie). Kluczowe dla powodzenia projektu negocjacje z największymi graczami – m.in. UPC i Vectrą – trwają. – *Twórcy Republiki zorientowali się, że system premium, tzw. à la carte, nie daje większych szans na sukces, bo jest w Polsce mało popularny. Włączenie jej do pakietu programów bez dodatkowych opłat jest*

o tyle korzystne, że pozwala dotrzeć do szerszej grupy odbiorców, nawet tych, którym ta telewizja nie za bardzo się podoba. No i daje mniejsze, ale za to pewne pieniądze. Gdyby TVR była dostępna tylko jako kanał premium, wykupiliby ją wyłącznie widzowie zadeklarowani, głównie elektorat PiS – tłumaczy jeden z członków zarządu kablówki, która negocjuje z Republiką.

Mimo to branża nie daje jej większych szans na sukces, nie tylko dlatego, że podczas internetowego rozruchu wyraźnie było widać technologiczne zacofanie i niedociągnięcia. Z winy słabych łączy przekaz się zacinął, materiały rwały. Prowadzący skarżyli się na skrzypiące kamery, zaliczali też wpadki, przekraczając imiona, funkcje i nazwiska gości. – *To telewizja sznurkiem wiązana, poziom usługi „śluby, wesela, wideofilmowanie profesjonalne”. Czegoś takiego nie widziałem ze 30 lat. Montażysty siedzą na kupie, a szefowa planu biega zapłakana, że nikt nie potrafi nawet kadru ustawić. Mam wątpliwości, czy taka telewizja ma szanse, choć życzę im dobrze, bo to zawsze jakiś nowy pomysł na rynku* – mówi producent telewizyjny z Warszawy, który przez chwilę współpracował z TVR. Pracownicy Republiki mówią, że chaos w studiu niezbyt im przeszkadza, bo „jadą na energii i wielkim entuzjazmie” (choć głównie na umowach śmieciowych).

Andrzej Zarębski, ceniony ekspert rynku telewizyjnego, zwraca uwagę, że już sam fakt, że TVR jest kanałem samodzielnym, pozbawionym wsparcia większej grupy medialnej, stawia ją w trudnej pozycji. Zaś rezygnacja z profilu kanału płatnego uzależnia sukces Republiki od negocjacji z operatorami. Odniesie go wtedy, jeśli TVR zostanie umieszczona w pakietach podstawowych, które są odbierane przez największą liczbę abonentów. – *Do takich kanałów z reguły trzeba dopłacać w pierwszym okresie ich działalności. Przy tak rozproszonym akcjonariacie jak w TVR mogą pojawić się konflikty o to, kto ma pokrywać deficyt* – twierdzi Zarębski. – *Nie wiem, czy twórcy nowej telewizji zdają sobie sprawę, z jak silną konkurencją będą musieli się zmierzyć. Przecież ich odbiorca to ten sam widz, który ogląda TV Trwam albo seriale „Ranczo” czy „Na Wspólnej”. Pilot telewizyjny to broń straszliwa i łatwa w użyciu.*

Wszystko to błędnie jednak przy rodzącym się konflikcie z ojcem Tadeuszem Rydzykiem, który może okazać się najbardziej niebezpieczny dla nowej telewizji. Redemptorysta ostro zaatakował Tomasza Sakiewicza na łamach „Naszego Dziennika”. Choć Sakiewicz od miesięcy zapewnia, że TVR nie jest konkurencją dla TV Trwam, o Rydzyk wyraźnie – i niebezpiecznie – obawia się „przestrzeni wolnego słowa”.

Podział powoli staje się faktem, o czym może świadczyć zachowanie braci Karnowskich, którzy jak do tej pory, mimo zapowiedzi, nie dołączyli do grona autorów TVR. Za to zarzuty Rydzyka wobec Sakiewicza szeroko omówili na swoim portalu wPolityce.pl, co wywołało gorącą dyskusję wśród internautów. Czytając niektóre z wpisów, widać, że pod pokrywką wrze, a ciosy padają po równo, budząc przerażenie u zwolenników jedności („I zaczyna się! Jeszcze nic prawica nie ugrała, a już skacze sobie do gardła”) i kąśliwe komentarze u najbardziej zdystansowanych („Karnowscy do spółki z Rydzykiem grillują Sakiewicza – ciekawe, bardzo ciekawe”). – *Sakiewicz w starciu z ojcem Rydzykiem ma małe szanse. Dlatego na razie przyjmuje uderzenia i nawołuje do pokoju. Ten konflikt jednak to przedsmak tego, co może nas niebawem czekać na prawicy, czyli podziału w PiS. Na tych, dla których najważniejszy jest Kościół, oraz tych, którzy na sztafardach niosą zideologizowany patriotyzm. Środowisko TV Republika zalicza się w dużej części do tych drugich* – ocenia Jan Filip Libicki, senator PO związany z jej konserwatywnym skrzydłem.

Nie chcąc, ale i nie mogąc liczyć na PiS, które nie pozwoli sobie na utratę poparcia o. Rydzyka, w kleszczach TVN 24 i TV Trwam, Republika ma przed sobą ciężką walkę o przetrwanie. Jeśli nie polegą przez rok, powinno się udać, pytanie tylko, czy nie będzie konieczna zmiana właściciela. Zygmunt Solorz lubi takie ryzykowne przedsięwzięcia. No i stać go na nie.